



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Im wunderschönen Monat Mai, wo alle Knospen sprangen...

Ilekoć technieniem swoim owionie mnie wiosna, — ta nasza wiosna, co-to się naprawdę dopiero w Maju rozpoczyna — tyle razy mi się zdaje, że gdzieś w powietrzu śpiewa coś piosenkę Heinego na nutę Schumanna i że pospolite szare wróble są słowikami, które siedzą na drutach telegraficznych i wyczekują *engagement* do jakiej leśnej opery, a wszystko dookoła pachnie fiołkami i wonią *mille-fleurs*, każdej zaś spotkanej na drodze kobiecie chce mi się z uprzejmym uśmiechem ukłonić, jak-gdybym spełniał polecenia poety: *Und wenn du eine Rose schaust, so sag' ich lass' sie grüssen!*...

Stare historie, a wiecznie jednakowe, wiecznie powtarzające się z pierwszym promykiem wiosennego słońca, z pierwszym liściem zielonym na drzewie, z pierwszym świegotem powracającej jaskółki.

Czar wiosny i czar poezji jest niewyczerpanym po wieki; odżywają w nim ludzkie dusze i ludzkie serca nieustannie.

Niechże będą błogosławione te obie czarodziejki: wiosna i poezja, które mają wspólne zaklęcia i cuda jeszcze czynić umieją na ziemi!...

Wielkanoc przyniosła nam najpiękniejsze święcone, jakie niebo ludziom zastawić mogło; przyniosła nam pełne, duże, jak świeży, złoty, wypieczony kołacz — słońce.

Przepiękna pogoda, pogodą prawdziwie od wielkiego święta, uraczyły nas niebiosą; cała Warszawa odetchnęła z głębi piersi i wyroliła się na ulice, w Aleje, w ogrody, ucieszona i rozradowana,

jak-gdyby trochę tego światła i ciepła brakło jej jedynie do szczęścia ziemskiego.

Na Ujazdowie wrzało, jak w kotle; ludek się bawił i dziwił, huśtał i tańczył, kręcił na karuzeli i łąził po budach hecarskich.

Dobrze mu było i wesoło, bo upajało wszystkich od samego rana słońce i powietrze, a pod wieczór inne nektary, bardziej ziemskie i bardziej upajające.

Nous autres dobijaliśmy resztek zimowego sezonu pod dachem, w teatrach i koncertowych salach. W Warszawie dużo rzeczy bowiem może kapitulować, ale nie muzyka, która się nigdy nie poddaje i gotowa jest rywalizować ze wszystkim najbezczelniej, jak-gdyby z góry pewną była zwycięstwa. Więc mieliśmy w zeszłym tygodniu jeszcze kilka koncertów, wieczorów muzyczno-dramatycznych, występów gościnnych panny Russel; — publiczności nie zabrakło nigdzie.

W Teatrze Wielkim w Środę grała p. Annetta Essipow i Barcewicz, w Piątek p. Józef Słowiński; znakomita pianistka posiadać musi niewątpliwie jakiś talizman odmładzający, nie kobiecie tylko, ale i artystkę. Słyszeliśmy ją tyle razy w rozmaitych fazach jej talentu, a jednak tym razem wydała się jakąś inną, lepiej usposobioną, poetyczniejszą w swojej grze, Szopenistką w każdym... palcu.

Oklaski i tryumfy zbierała z nią wspólnie Barcewicz, którym przed Europą mamy prawo dzisiaj szczerzyć się taksamo, jak ongi Lipiński: lub Wieniawskim.

Co-to za skrzypek wyrósł z tego „Stacha“, któregośmy przed kilkunastu laty słyszeli, gdy wyjeżdżał kształcić się do petersburskiego konserwatorium!... co za ton, siła, technika, a przytem śpiewność i uczucie prawdziwie meżkie.

To uczucie nie tylko pod smyczkiem, nie tylko w palcach godne uznania, ale i w całym niepospolitym artyście, który mógłby, jak tyłu innych, zgarniać po świecie oklaski i pieniądze u obcych, a jednak siedzi na miejscu i nie tylko rozumie, ale

i spełnia obowiązek swojskiego talentu względem rodzimej sztuki.

Wystarczają mu laury nasze i uznanie tych słuchaczy, którzy tak często klaszczą obcym miernotom, a na swoich własnych znakomitościach nie bardzo się poznawać umieją.

Zeszłego Piątku koncertował młody pianista, p. Józef Słowiński, którego krytyka wiedeńska, warszawska i petersburska powitała już nader życzliwie, jako wschodzącą gwiazdę.

Młodość i temperament, trochę nerwowy, ale rzeczywisty, wspierają ten talent, który najpiękniejsze rokuje nadzieje, jeśli gdzie na rozdrożu nie zboczy i pracą ciągłą, wytrwałą a systematyczną dalej rozwijać się będzie. Dzisiaj jest to już artysta wyróżniający się wyjątkowymi warunkami w swej sztuce, a nie potrzeba przypominać, że dla pianisty — to duża pochwała i trudność wielka odznaczyć się wśród tego całego tłumu, który tressuje zębaty potwór, zwany fortepianem, i sobie palce, jemu klawiszowe zęby, a słuchaczom bębni w uszach rozbija dla miłości sztuki — i... impresaryów.

Jakby dla uwidocznienia kontrastu, albo dla przedsmaku przyszłości, kazał nam los podziwiać bezpośrednio po p. Słowińskim pięcioletniego wirtuoza, Raulka Koczalskiego.

Wiadomo, że u nas urodzaj na „cudowne dzieci“ bywa w ostatnich czasach wyjątkowy; żeby tak stosunkowo buraki obradzały, mieliśmy z pewnością słodsze życie i cukier tańszy.

Ile ja już widziałem tych genialzków miniaturowych, nie większych od smyczka, nie wyższych od nogi fortepianu!... a z nich wszystkich dotychczas jeden jedyny Józio Hoffman zrobił na mnie najgłębsze wrażenie czegoś zjawiskowego, niepojętego, czegoś, czemu się wierzyć nie chce, patrząc i słuchając na jawie.

Z „cudownego dziecka“ wyrósł dziś już „cudowny chłopak“, z którego wyrośnie kiedyś wiel-

ki muzyk w całym tego słowa znaczeniu, według przepowiedni wszystkich znawców i krytyków.

Rozsądna opieka rodzicielska zapewnia mu rozwój fizyczny i umysłowy. Po tryumfach w Ameryce i po zebraniu sporo grosza na zapewnienie spokojnego bytu, nie tylko na koszt dalszego kształcenia, Józio Hoffman z rodzicami przebywa obecnie w Berlinie i uczy się.

Widziałem go teraz podczas świąt wielkanocnych w Warszawie; niewiele się zmienił, trochę podrośł, ale zawsze na oko dzieciak, dopóki nie usiadzie do fortepianu i nie zacznie mówić o muzyce. Wtedy z tego kilkunastoletniego malca przemawia jakiś dojrzały człowiek i znawca swej sztuki, a kiedy improwizuje, lub gra wielkie kompozycje Beethovena, Szopena, Schumann lub Rubinsteina, urasta nagle na dużego artystę, z którym wielu skończonych pianistów nie mogłoby już dzisiaj wytrzymać rywalizacji.

Nie on gra—to przez niego gra jakiś duch wyjątkowy i namaszczony, który sobie obrał takie małe i niepozorne *medium*, aby tembardziej świat zadziwiać.

Bardzo słusznie zrobiono, że przez lat kilka Józio nie będzie wcale koncertował publicznie, za co mu podobno jakiś amerykański Nabab i meloman zarazem przeznaczył ogromną sumę dwóch kroć tysięcy dolarów. Wszystko jedno, z jakich powodów nie występuje na estradach, dość, że tym rozumnym pedagogicznym środkiem uchroniono go od wyczerpujących wysiłków, których i zdrowie, i talent chłopca mógłby paść ofiarą.

Za kilka lat usłyszymy go tedy w całym rozkwicie.

Tymczasem tyle innych jeszcze będziemy musieli wysłuchać koncertów!—a dwa najbliższe czekają nas w pierwszej połowie Maja, bo na korzyść Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych w Studzieńcu jeden, na Kasę pożyczkowo-wkładową przy teatrach warszawskich drugi.

Z góry można przepowiedzieć, że pomimo najmniej dogodnej pory, oba będą miały powodzenie zapewnione; jakżeż może być inaczej, gdy w pierwszym deklamować ma p. Popiel-Swiecka, na fortepianie grać będzie Śliwiński, a na skrzypcach Barcewicz... a na drugim po raz pierwszy Warszawa znajdzie sposobność usłyszenia arcydzieła arcydzieł muzycznych: dziewiętej symfonii Beethovena.

Pod kierunkiem dyrektora Rzebieczka od paru tygodni wzmocnione chóry i orkiestra próbują już tej wspaniałej muzyki; solowe partie spoczywają w głosach p. Dobieckiej, p.p. Seidmana i Myszugi.

Wprawdzie liczby wykazały, iż największym powodzeniem w Warszawie w ciągu zimowego sezonu cieszył się... cyrk p. Buscha, jednak chyba po jego wyjeździe poważna sztuka i szlachetniejsze jej cele nie będą miały już żadnej równie niebezpiecznej rywalizacji.

Ktoś obliczył, że przez pięć miesięcy i trzy tygodnie swojego pobytu p. Busch dał 195 przedstawień hecarskich, na których zebrało się około 120.000 płatnych widzów, czyli znacznie więcej, niż w tymże czasie chodziło osób do wszystkich trzech teatrów wraz z Salami Redutowemi.

Żaden jego poprzednik nie mógł się pochłubić takimi rezultatami i takim dochodem, który opłacił wszystkie koszty pobytu, przejazdu, przewozu rzeczy, cła i wysokiej dzierżawy.

Rozumie się, iż sprytny dyrektor zawarł natychmiast umowę na przyszłe półroczie i w jesieni stawi się z całą swą trupą znowu na Ordynackiem.

Ktoś mi tłumaczył, iż to nie rodzaj rozrywki, ale jej taniość i łatwość dostania wygodnego miejsca sprawowała po większej części owe tłumy do cyrku; zauważył nawet, że przy zamierzonej przebudowie wielkiego teatru, a ewentualnie przy wznoszeniu nowego gmachu dla Rozmaitości, należałoby uwzględnić wymogi i potrzeby „tańszej publiczności”, któraby wolała pójść na komedję lub dramat, aniżeli patrzeć na bezmyślne koncepta błaznów i skoki hecarek.

Być może, że to jest prawdą; pocziwa „góra” we wszystkich teatrach najliczniej bywa zapełnianą u nas. Gdyby się na niej więcej miejsca,

a zwłaszcza wygodniejszego miejsca znalazło, może i widzów przybyło.

Co do cen, to chyba trudno byłoby je zniżać; nasz teatr w porównaniu z innemi, zagranicznymi, jest i tak jednym z najtańszych.

Zresztą, nad tem wszystkim zastanowi się zapewne nowy sternik całego statku Melpomeny, gen. Palicyn, który po senatorze Gudowskim objął w tych dniach kierownictwo i w powitalnym przemówieniu swoim do artystów zapowiedział troskliwą czujność nad wszystkimi interesami sceny i teatru w ogóle.

Oile można reporterom wierzyć, letni sezon obfitować znów będzie w „ogródki”; podobno pół tuzina dyrektorów i trup prowincjonalnych wybiera się do Warszawy, aby próbować szczęścia na cudzych gruzach.

Wyprawa tych „nieustraszonych” przypomina mi ómy, lecące wprost do świecy i nie dające się niczem odpędzić.

Teatrzykomania sięgnęła już nawet poza rogatki Warszawy; już nie tylko w Promenadzie Belwederskiej, ale i na letnich mieszkaniach będziemy mieli filie Melpomeny i Talii.

Oto słyszałem, że np. w Otwocku powstaje z całym urządzeniem scenka, na której odbywać się mają przedstawienia amatorskie ku zabawie „letników”, spędzających tam swoje wakacje, a prawdopodobnie od czasu do czasu wycieczkę zrobi jakaś wędrująca truppa aktorów z professyi, lub jaki zapoznany artysta wybierze się z monologami po sławę na willegiaturze.

Winszuję wrażeń, ale nie zazdroścę.

Podobno w roku bieżącym spaść mają ceny letnich mieszkań, chociaż nie widzę przyczyny, dla którejby to się stać miało; czyżbyśmy wszyscy, zamiast na łono natury, pojechać mieli na wystawę do Paryża, wyrzekając się rozkoszy wiejskiego pobytu?... Wątpię, aby tak było; rubel wprawdzie zachęcający podskakuje w górę na giełdowej linii, ale tych rubli potrzeba bardzo dużo, aby zamiast nad Świdrem, Wisłą lub Pilicą, spędzić kilka tygodni nad Sekwaną i z wysokości wieży Eiffla kłaniać się Europie.

Komuś przyszedł do głowy oryginalny pomysł budowania letnich mieszkań przenośnych, czegoś w rodzaju baraków i namiotów, któreby można ustawiać w pewnych miejscach, wśród lasów i prowadzić w nich życie koczownicze, może nawet wygodniejsze, niż w niejednej willi zbyt drogo opłacanej.

Zanim wszelako ten amerykański pomysł wejdzie w praktyczne zastosowanie, po ukończeniu letniego karnawału, po wystawie pracy kobiecej, na którą napłynęło dotąd już sto kilkadziesiąt deklaracji, po wyścigach na Mokotowie, w których *the greatest attraction* sezonu mają stanowić w tym roku damy na koniach, zaczniemy się rozjeżdżać na wsze strony.

Oile słyszę, do Zakopanego wybiera się mnóstwo osób, choćby tego uroczego zakątka gór nie udało się zakupić zawiązanej spółce udziałowej, zbierającej uczestników z wielkim mazołem, byle tylko nie puścić perły tatrzańskiej w obce ręce.

Dr. Br. Chwistek, lekarz stacyi klimatycznej w Zakopanem, wydał obecnie broszurkę z opisem tej miejscowości, polecając ją gorąco opiece i pamięci kolegów wysyłających pacjentów swoich za granicę.

Z broszurki tej dowiedziałem się o nowych ulepszeniach i wygodach, zaprowadzonych lub projektowanych w Zakopanem; i tak: do jedynych cieplic naturalnych w Jaszczurówce kosztem Wydziału Krajowego zostanie tej wiosny przeprowadzona droga, po której, jak dotąd, nie trzeba będzie gubić połowy zębów i obtłukiwać sobie boków na bryce góralskiej.

Z końcem zeszłego roku otwartą została apteka p. Ferdynanda Tabeau, zaopatrzona we wszystkie medykamenty i we wszystkie wody mineralne, co ułatwi znakomicie leczenie się na miejscu, bez potrzeby posyłania po ważniejsze lekarstwa aż do Nowego Targu.

Należycie w tym sezonie zaprowadzoną zostanie żętycarnia, w której wyrabiać będą również kefir.

To wszystko dla chorych i cierpiących; dla zdrowych zaś—trzebaby wierszami pisać, chcąc wyli-

czyć wszystkie rozkosze i przyjemności zakupiańskiej doliny, oile się niejest miejskim filistrem, dla którego niczem są wszystkie zachwyty nad naturą górską, zaś najważniejsza kwestya streszcza się np. w słowach:

— A mają tam pilzneńskie piwo?...

Malownicze piękności Zakopanego opisuje i w rysunku odtwarza Stanisław Witkiewicz w swej zajmującej pracy pod tyt: „Na przełęcz”, którą od kilku miesięcy pomieszcza *Tygodnik ilustrowany*. Po ukończeniu wyjdzie to wszystko w osobnej książce, która będzie pierwszym w tym rodzaju albumem tatrzańskim. Ołówkę artysty godną pomoc znalazł tu w piórze autora, mającego to, co się „stylem” nazywa, a co dziś coraz rzadszą bywa zaletą u piszących, w wybitniejszym stopniu...

Mam przed sobą wiązkę rozmaitych sprawozdań, które się chwalą swoimi dobrymi bilansami i rezultatem dodatnim zeszłorocznej działalności właściwych towarzystw i instytucji; jedno z nich wyróżnić muszę, a mianowicie „sprawozdanie siódme z czynności komitetu, zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym, imienia Dr. Józefa Mianowskiego za rok 1888.”

W ciągu swego krótkiego stosunkowo istnienia kassa rozwinęła się nader pomyślnie, chociaż mogłaby stać jeszcze lepiej finansowo i jeszcze więcej położyć zasług, gdyby jej członkowie nie chorowali na epidemiczną niewypłacalność składek. W roku 1887 sprawozdanie wykazywało 1402 nominalnych członków, z których połowa zalegała w opłacaniu składki, wynoszącej minimalnie rs. 5; w tym roku nie podano już ogólnej summy członków, tylko zanotowano, iż jedynie 753-ch uiszcilo się ze swego dobrowolnego zobowiązania, a o reszcie dyskretnie przemilczano.

Majątek tej pożytecznej instytucji powiększył się w roku zeszłym sporą sumą z prywatnych zapisów i ofiar. W. Wilczyński zapisał kassie 5.000. Ignacy Bogucki darował 3.000 w papierach publicznych, a ś. p. Józef Banasiewicz pozostawił fundusz, którego instytucja jeszcze prawie nie odebrała na własność.

Pocieszającą wielce jest mimo wszystko zwiększająca się stale od założenia kassy liczba członków płacących. Na zapomogi bezzwrotne, zwrotne i pożyczki terminowe wydano około 10.000 rs., co w stosunku do lat poprzednich, z wyjątkiem pierwszego roku działalności, stanowi rubrykę dość małą.

Kapitał obrotowy według bilansu wynosił prawie 50.006 rs., ogólny zaś stan czynny 139.793 rs. 5 kop.

Ważniejsze pozycje zapomogowe świadczą o poparciu, jakie kassa dała poważnym wydawnictwom i studjom naukowym, których długiego szeregu niepodobna wymienić po kolei.

Cicho i bez rozgłosu robi się tedy u nas także i coś dobrego, pożytecznego prawdziwie i trwałszego na dłuższe lata.

Byle tylko sił, środków i poparcia nadal nie zbrakło, to i więcej jeszcze da się zrobić,

Quis.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Ja moim panom zapowiadam — zaczął lustrator, rzucając pióro, że on nas nauczy uciekać i kryć się. Będziemy odgrywali rolę studentów wobec belfra—i gdy się tylko da, nie nie robić. Pomyślcie teraz panowie, żeby tak całym krajem, we wszystkich urzędach, rządził Stańczyk!...

— Uciekliśmy do Ameryki — odpowiedzieli chórem, rozchodząc się domów.

Dwadzieścia minut wystarczyło, aby szeroki i szybki kłus roślących koni zawiózł pana Jana do domu, zwanego wilczyckim pałacem.

Pani Helena bawiła w Wiedniu; wierna swej namiętności, wysyłała codziennie długie listy do męża. Na biurku w kopercie z pięciopalkową szlachecką koroną jeden z wielu oczekiwał na odbiórecę.

— Już to magnifika — tak, gdy był w dobrym humorze nazywał żonę — nie chybi ani jednego dnia. — Wziął list, rozciął kopertę i wyciągnawszy się wygodnie w fotelu zaczął czytać.

... „Matylda w swych poglądach jest nieoceniona. Co za trzeźwość, a jaka praktyczność! Ja przy niej przedstawiam się jak romansowa, z przewróconą głową panna. Naśmiała się z twych obaw o Adasia i romansu jego z Julką. W wielkim miłosierdziu swoim przebacza ci ten romantyzm, pod jednym warunkiem, że się nareszcie ze względu na Adasia postarasz o tytuł hrabięgo. Gdyby to zrobił twój ojciec, Adaś byłby urodzonym hrabią i ożenienie jego byłoby dziesięćkroć łatwiejsze. Matylda jest pewna, że jej usłuchasz i już od kilku dni pracujemy na tej drodze. I oto są rezultaty naszych poszukiwań:

„Hrabstwo rzymskie można łatwo dostać za dziesięć tysięcy franków. Lecz ponieważ dużo neofitów czerpało obficie z tego źródła, — Matyldka nie radzi. Hrabstwo austriackie kosztuje wprawdzie dziesięć tysięcy guldenów, lecz ponieważ oprócz tego wymaga silnych protekcji, rozległych stosunków, łask ministrów i dygnitarzy, jest trudniejsze do zdobycia, a więc dobrze uważane i cenione. Matyldka radzi austriackie, ja ją popieram, a obie nie wątpimy, że się zgodzisz. My będziemy tu operować, ty zaś pobieraj papiery, jakie się dadzą, i jedź z nimi do Lwowa. Dobra opinia namiestnika prawie zawsze rozstrzyga. Z braku dokumentów nie rób sobie wielkich rzeczy. Nie dokumenta, lecz protekcja stanowi *ford* tej sprawy.

„Co do ożenienia Adasia mamy dla niego partya upatrzoną. Majątek znaczny, nazwisko niezbyt stare, lecz utytułowane, stosunki wielkie, kolligacye nie nadto świetne, lecz rozległe i pewno dlatego od młodego człowieka wymagany jest przedewszystkiem tytuł. Panna dwadzieścia lat skończonych, brunetka, niebrzydka, nie sawantka, nie lwica, nie nazbyt dowcipna i nie artystka. Właśnie nie posiada tego wszystkiego, czego niepotrzeba żonie przyszłego dygnitarza. A więc, panie mężu, nie trać czasu i do pracy! Miesiąc Maj młody hrabia Adam przepędzi w Paryżu na usługach swej damy. Matyldka będzie mu osobiście pomagać.

„Kończę, mój drogi, muszę się ubrać. Matyldka przyjeżdża za godzinę — jedziemy w sprawie twojego przyszłego hrabstwa. Przyznaj, że jesteś jednym ze szczęśliwych ludzi...”

Twoja

Helena.

— Tak — zawołał rozpromieniony pan Jan, zrywając się — Najszczęśliwszy z ludzi! wyciągnij z kasy dziesięć tysięcy guldenów i plać — mówił, chodząc szerokimi krokami po pokoju. — A jednak głupio się stało, że ojciec tego nie zrobił. Lecz czy mógł? Zbierz papiery, ale jakie?... Trzeba się będzie cicho rozkosić we Lwowie. — Zatarł ręce i rozmyślał się. — Kości rzucenie: idźmy na przód. Ciekawy jestem: co Adaś powie na wieść przyszłego hrabstwa? Matka musiała mu już donieść.

Gdy Najjaśniejszy Pan potwierdzi mój wybór, pojedę do Lwowa złożyć przysięgę. Wyborna nadarzy się wtedy sposobność na cztery oczy pomówić z Namiestnikiem. Czegoż-to ojciec nie zrobi dla kariery syna?

Od tej chwili nowy marszałek więcej jeszcze zdumiał. Czuł się nie tylko Stańczykiem, ale rodowym arystokratą, na którego czole spoczywała dziewięciopalkowa korona. Rad był, aby wszyscy o tem wiedzieli. Mimo to nie ustawał w pracy, administrował majątkiem, codziennie wpadał do kancelaryi rady powiatowej, rządził, rozkazywał, decydował.

Na pierwszej sessyi wydziału przyszedł do rozstrzygnięcia zawily spór miasta z przyległą gminą o drogę prowadzącą do kolei żelaznej. W imię rozwoju miast, podniesienia przemysłu i handlu, wydział pragnął spór rozstrzygnąć na korzyść miasta. Marszałek zabrał głos.

— Jesteśmy specjalnie krajem rolniczym; na powierzchni naszej ziemi rozsiane są chaty i dwory; a zatem sama loika każe nam bronić interesów ludu i dworów. Lud i dwory reprezentują u nas tradycyą i poszanowanie religii. Co nam miasta, co nam do miast? Są to siedziby władz i żydów. Władze żyją z pensyi rządowej, a żydzi z szacherstwa. Jakież być mogą interessa miast?

— Proszę o głos — zawołał Radwan. — Dziękuję panu marszałkowi za szczerość i otwartość.

Marszałek nieznacznie pomacał się ręką po głowie, aby się przekonać, czy mu nie wyskoczyła dziewięciopalkowa korona. Nie chcąc słuchać docinków radykała, wyszedł do przyległego pokoju, a za nim kilku Stańczyków, których liczba powoli wzrastała.

— Nie dajmy radykałowi satysfakcyi docinania nam w oczy — odezwał się do towarzyszy. — Cokolwiek on powie, w Galicyi jest tylko chłop i pan — pan i chłop... I czego nam potrzeba więcej? Byłe tylko z chłopą nie robiono w naszych głupich szkołach uczonego. Chłop niech się patrzy na dwór i będzie dobrym robotnikiem, a dwór niech się opiekuje chłopem; wtedy unikniemy awantur, rewolucyi, socjalizmu i tym podobnych postępowych głupstw.

Oklaski w salce obrad zagłuszyły resztę wyrazów marszałka.

— Głosować, głosować — wołano. Marszałek i stronicy wrócili. I, o dziwo, sprawiedliwość, gwałtowna potrzeba dobrej drogi łączącej miasto z dworcem kolei, zwyciężyły.

Twarz pana Jana pokryła się szkarlatem: nozdrza rozszerzyły, nasunął brwi i patrzył wyzywająco. Miał ochotę powiedzieć Gryziowi, że nie zapłacił raty dzierżawnej, lecz Gryzio stał na szarym końcu. Miał zamiar zawołać *veto* i zaapelować do Wydziału Krajowego, przeczuwał jednak, że przegra. Mileżał więc, zdradzając niezadowolenie marszem i wyzywającą miną.

— Referat — zwierzał się przyjaciółom politycznym, był napisany w duchu mieszczańskim, miał wszystkie pozory racji i dlatego przeszedł. Nie nieznośniejszego jak mieć uczonego sługę, a jeszcze nieznośniejsze, gdy ten uczonej jest demagogiem. Tak zawsze bywa, gdy się bierze po swym poprzednikowi inwentarz. Należy brać, jaki jest.

— I w zęby nie zagłądać — dodał zamaszysty szlachcic.

Rozśmiano się chórem serdecznie, wesolo.

— Nie wolno — dodał marszałek — byłaby wielka obraza, nastąpienie na honor.

Zwycięstwo Radwana było stanowcze, obchodzone uroczyscie w kasynie, tem więcej, że poprzedni marszałek, nie chcąc się narażać, tak jednej, jak drugiej stronie, załatwienie tej ważnej sprawy spychał zawsze z porządku dziennego.

Pani Helena, odświeżona, ubrana modnie, elegancko, a z szykiem wiedeńskim, wróciła po całonocnym pobycie w stolicy do domu. Niezwykłe ożywiona, opowiadała plotki dworskie, historye zakulisowe, intrygi w ministerium, unosząc się nad sprytem, zręcznością i rozumem Matyldki.

— Będziesz hrabią. Zapewniamy cię, ja i Matyldka, że hrabią musisz być; tylko nie należy żałować pieniędzy i ruszać się, manifestując wszędzie arystokratyczne zasady, a nawet nałogi. Nałogi — mówi Matyldka — są o wiele ważniejsze od zasad.

Pan Jan przyjmował uwagi z łaskawą pobłażliwością.

— Cóż chcesz, abym więcej robił?

— Co? We wszystkich pałacach i zamkach znajdują się kaplice. Tam, gdzie ich nie było, budują nowe. Przysięgam ci, że arystokracja chodząca dziś na nabożeństwa domowe. Kaplice pałacowe stały się już, nie modą i nałogiem, lecz koniecznością życia...

— Mniejsza o kaplicę — przerwał pan Jan. — Lecz do kaplicy potrzeba księdza.

— Jeżeli nie chcesz kapelana, to za małym wynagrodzeniem może raz na tydzień przyjeżdżać z klasztoru Kapucyn i Mszę odprawi — a co dzień w wieczór, bo rano nie ma czasu, ja sama lub panna służąca, będziemy odmawiały z domownikami litanią. Ty musisz przychodzić — i będziesz przychodził. Po urządzeniu kaplicy poświęcimy ją uroczyscie, a to się rozgłosi. Obie byłyśmy pewne, że się zgodzisz, i dlatego kupiliśmy aparata kościelne. Ujęła go za rękę. — Chodź, zobacz jakie piękne, a w dodatku za bezcen.

Pan Jan pozwolił się prowadzić. Kaplica schlebiała jego dumie.

Na całe dwa powiaty jeden zaledwie pałac miał kaplicę. W Wilczyckach będzie druga.

Oglądał, pytał się o cenę i również dziwił się taniości.

— Cóż Adaś o przyszłym tytule? — rzucił pytanie żonie.

— Adaś skończony sensat podług mnie, podług zaś Matyldki dyplomata. Wyobraź sobie: odpisał mi, że jeżeli to rodzicom zrobi przyjemność, zgoda, byle za tę małą *frajdę* nie trzeba było zbyt drogo płacić. Matyldka utrzymuje, że mimo pozornej obojętności, nie sypia z radości po nocach.

Pochyliła się do męża i zaczęła szeptać:

— Otrzymałam wiadomość, że Adaś ma w świecie zakulisowym stosunek, którego mu cała złota młodzież zazdrości. Jest to głośna tajemnica w całym Lwowie, mówią o niej w salonach. Chłopcu wieści te robią opinią Don Juana.

Pan Jan zlekka nachmurzył brwi.

— Rozpogodź lice, mój Jasiu, nie jest to przecież zbrodnia.

— Nie — odparł pan Jan, lecz chłopak jest kochliwy...

— Bój się Boga! już tyle razy prosiłam cię, abyś przynajmniej w mojej obecności nie robił z Adasia głupca.

Ojciec uwierzył, że syn jego głupcem nie jest, i uspokoił się.

— Lepiej, że ma jedną miłość, niż gdyby miał ich dziesięć — powtórzył parę razy i przestał już o tem myśleć.

W krótkim stosunkowo czasie, skutkiem energii pani Heleny, kaplica stanęła. Dziekan poświęcił ją, kapucyn z sąsiedniego klasztoru odprawił nabożeństwo. Matylda odebrała o tym fackie obzerne sprawozdanie.

Pan Jan rósł we własnej opinii. Poznać to było można z tonu jego głosu i traktowania bliźnich, którzy nie posiadali w swych dworach własnych kaplic. W radzie powiatowej bywał codziennie o różnych porach dnia, aby panowie urzędnicy mieli się nieustannie na baczności.

Raz przyjechał niespodzianie o 10 rano. Sekretarza nie było w kancelaryi, lecz za to na biurku jego leżała rozłożona klepsydra. Marszałek zaczął czytać.

„W dniu dzisiejszym, jako w rocznicę... odbędzie się żałobne nabożeństwo.

— Manifestacya — zawołał — i to w godzinach biurowych. Śpiewy, tromtadracya... Na to nie pozwolę. Pochwycił pióro i na arkuszu papieru napisał:

„Za samowolne opuszczenie biura w godzinach urzędowych sekretarz zapłaci kary pięć guldenów.”

— Oduczy się — dodał głośno, przywołał kancelistę, gotowe referaty podpisał i poszedł wprost do starosty. Nie zastał go i czekać musiał.

— A to gdzie pan starosta przesiadywał? — zapytał na przywitanie.

— W kościele — odrzekł — Miało się przecie ucziwać młodość, a teraz święci się jej pamiętki i wspomnienia.

Pan Jan nie odpowiedział. Szanował w starości władzę i potrzebował go, lecz gdy po załatwieniu interesu znalazł się na ulicy, szepnął gniewnie do siebie:

— Ktoby się spodziewał, że i starości u nas zarażeni tromtadracyą! Wstydił się jednak wstępować do rady powiatowej: kary nie chciał odwo-

ływać, nie chciał się widzieć z sekretarzem, wsiadł na bryczkę i wrócił do domu.

Po powrocie sekretarza z kościoła zapanowała wrzawa w gmachu rady. Wyprawiony posłaniec wrócił z vice-marszałkiem. Tadeusz oddał mu kasę, papiery, poprosił go o wypłatę zaległej pensji, rzeczy spakował, mebelki, które miał, zostawił do sprzedania inżynierowi, napisał list do marszałka i odprowadzony przez kolegów, Gryzia i Raciborskiego pośpieszył na pociąg jadący do Lwowa. Żal, niepewność jutra, brak środków i nadzieja zobaczenia Julci i Rębowskich, uwolnienie się spod władzy Stańczyka — wypełniały mu serce, zarazem niepokojem i radością.

Marszałek czytał półgłosem list.

— „Kasę i papiery oddałem vice-marszałkowi—za godzinę odjeżdżam.“ Nic więcej, ani słowa, ani jednego wyrazu: zatwardziały demagog! Rzucił list.

— Oddycham — zawołał po chwili namysłu — ciężar mi spadł z serca. Wypędzić bez podstawy niepodobna; ale, że sam poszedł, wielkie mi dobrodziejstwo wyświadczył. Na twoje miejsce będę miał dziesięciu, byle jeden list do Dominika.

Usiadł przy biurku i pisać zaczął:

„Kochany Dominiku!

„Słyszałem, że znowu posiadasz zapas ludzi, jakich nam właśnie potrzeba. Proszę cię więc o sekretarza do mej rady powiatowej. Przedewszystkiem pragnę, aby posiadał jeden wielki przymiot: aby nie był mądrym. Do mądrych podwładnych mam wstręt. Miałem mądrego, i musiałem się z nim pożegnać. Niechaj więc przysły sekretarz będzie głupi, lecz za to posłuszny. Niech robi ślepo co mu się każe, ściśle wykonywa polecenia i wierzy w rozum swego marszałka.

Serdecznie cię pozdrawiam

Jan.

NB. Co do przyjęcia go przez Radę, to moja rzecz.“

XI.

Tadeusz, zdenerwowany pragnieniem najspiesniejszego przyjazdu zaledwie o wpół do dziesiątej wieczorem dobił do Lwowa. Wskoczył do jednokonki; rzeczy złożył w hotelu, a sam kazał się wieźć na Ulicę Stryjską.

W jednopiętrowym schludnym domku świeciło się na pierwszym piętrze. Przez otwarte okna płynęły tony Nocturna Chopina. Marszałkowa wpatrywała się w srebrną twarz księżycy. Tadeusz, wyskakując z fiakra, kłaniał się kapeluszem.

— Pan Tadeusz—zawołała Julcia, przybiegłszy do okna.

— Pan Tadeusz—wołały obie.—Józiu, świeć... Zkąd się pan bierzesz?

Tadeusz znikł na schodach i ukazał się w oświetlonym saloniku, witany serdecznie.

— Już się nie rozstanę z paniami. Przyjechałem do Lwowa szukać kawałka chleba: sekretarzem nie jestem.

— Przeczuwałyśmy to z mamą—rzekła Julcia.

— Cokolwiek bądź—dodała marszałkowa—damy sobie radę.

— Damy, damy—zawołała Julia.—A teraz Józiu nastawiaj samowar, a pan niech odpocznie i odpowiada od początku, a naprzód: Czyś bardzo tęsknił za nami?

— Nietylko ja, cały powiat, rada, Gryzio, Raciborski, lud... Lecz panie macie więcej do opowiadania z dziejów stolicy.

— Mieszkamy prawie na przedmieściu, zdaje nam się, że żyjemy na wsi, mało mamy dotąd stosunków.

— Zato z ojca—przerwała matce wesoło Julia—zrobił się już prawdziwy mieszcuch. Poza biurem cały czas poświęca dobru miasta. Należy do wszystkich stowarzyszeń, wieczorami, jeżeli nie jest na posiedzeniu, bawi się w kasynie. Mama

odpoczywa po kłopotach i przejściach rębowskich; mnie bezczynność miejska nuży i męczy.

— Przyzwyczaisz się, moje dziecko—pocieszała ją matka.

— Dla zabicia czasu gram postaremu i maluję. Józia dała znać o gotującym się samowarze; Marszałkowa wyszła przygotować herbatę.

— Dziękuję losom i stańczykowi za sprowadzenie pana do Lwowa — odezwiała się przyciszonym głosem dziewczyna.—Nie będę samą.

Wyciągnęła rękę, którą Tadeusz poniosł do ust.

— Wyobraź pan sobie: kapitałik nasz z czterdziestu tysięcy przepołowił się. A i teraz jeszcze przychodzą rachunki. Pensja ojca niewielka, miasto droższe od Paryża, muszę ja przynajmniej zapracować na swoje utrzymanie. Pan mi pomożesz?

— Z rozkoszą — odparł Tadeusz — nie jestem bez znajomych.

— Muzyka..

— Julciu, prowadź naszego gościa na herbatę.

Przy kolacyi kobiety się rozgadały. Julcia była ożywiona, marszałkowa wesoła. Marszałek wrócił o północy w wyborzym humorze, ożywiony i rozradowany.

— Nie jest to niespodzianka, że cię widzę—zawołał, witając Tadeusza. — Codzień cię czekam. Byłem pewny, że dłużej nad miesiąc nie wytrzymasz... Bądź spokojny, nie damy ci tu z głodu umrzeć. Dostaniesz tymczasem dyurnę w Wydziale Krajowym... Zakładamy nasz własny bank, ludzi fachowych brak, a ty podobno paryzki buchalter...

Familiarnie traktował Tadeusza *per ty*, o co tenże zupełnie się nie obrażał.

— Wybornie zrobiłeś — mówił dalej, zapalając się—żeś porzucił małe miasteczko, powiat i jego sprawy. Dżiczę się i idyocje na partykularzu. Tu co innego: wielkie miasto, wielkie sprawy, interessa całego kraju zbiegają się.

— Ze Stasia całą duszą Lwowianin — dodała marszałkowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WROTKI.

I.

(Gdzie kres?)

Chociaż z lat biegiem nasz pogląd na życie Coraz-to inną bierze sobie postać, — Nigdy do siebie nie mówimy skrycie: „Jak dziś jesteśmy, tak chcemy pozostać“.

Przed zmiennym losem choćbyśmy uciekli I samej śmierci nawet mogli sprostać, — Nie znajdziem chwili, w której-byśmy rzekli: „Jak dziś jesteśmy, tak chcemy pozostać“.

II.

(Nie są złudzeniem.)

Nie są złudzeniem nadzieje promienne, Które do wzniosłych są podniętą czynów: One cierpieniom dają blaski cenne, I kryją smutek pod liściem wawrzynów.

Nie są złudzeniem... bo gdyby nie one, Lepiejby było zejść w niebyty ciemnie, Niżli krwawiącą cierniową koronę Z brzemieniem nieszczęść dźwigać nadaremnie.

J. K. Ehrenberg.

Z PEDAGOGIKI.

(O wychowaniu dziewcząt z uwzględnieniem obecnych stosunków i potrzeb — napisał Mieczysław Baranowski).

Wychowanie, jako moralna podstawa życia, ma już mniej więcej ustalone zasady swoje; ale ta jego strona praktyczna: „uwzględnienie obecnych stosunków i potrzeb“, to rzecz zmienna, jak okoliczności życia społeczeństw i składających je jednostek, a ważna, jak podniesienie nad omyłki i przygotowanie do praktycznego wytworzenia gruntu dla istnienia naszego. Nowoczesne stosunki, ekonomicznej, i nietylko ekonomicznej, natury, wprowadziły w życie kobiet zmiany liczne. Praca kobieca, która prawie do połowy naszego stulecia była przeważnie pracą dla rodziny i w rodzinie, dziś występuje poza tę zamkniętą szranki, nie dla niezdrowych mrzonek tak zwanej emancypacji, ale dla chleba, którego potrzeba wszystkim ustom ludzkim—dla zarobku, dającego środki do życia kobiecie samotnej. A jest obecnie we wszystkich społeczeństwach europejskich kobiet takich liczba o tyle już poważna, że wychowanie publiczne kwestyą zarobkowej pracy kobiecej tak musi brać w rachunek, jak bierze je rodzina, o przyszłość córek swoich troskliwa.

Ze przy początkowym ruchu w tym kierunku popełniano, a nawet do dziś dnia popełnia się, wiele omyłek, wiele prób zawodnych, za które trzeba następnie płacić tą rzeczą tak okrutną, jak zwicnięcie, zmarnowanie życia, więc każde studium nad tą stroną wychowania kobiety: nad jej nauką, postawioną w związku z pracą w przyszłości, ma swoją wagę, można powiedzieć: pierwszorzędną. Świeżo, bo w bieżącym już roku, we Lwowie, nakładem Towarzystwa Pedagogicznego, wydano broszurę p. Mieczysława Baranowskiego: „O wychowaniu dziewcząt z uwzględnieniem obecnych stosunków i potrzeb“, powinna obudzić w matkach i wychowawcach zajęcie, przedmiotowi traktowanemu należne. Autor, pragnąc wykazać na wstępie ważność wychowania kobiety dla dobra ogółu, pierwsze rozdziały broszury tej kwestyi szczególnie poświęca. Prądy rozmaitych idei ściągają się obecnie wśród społeczeństw europejskich; rozluźniło się też egoistycznie wiele węzłów, utrzymujących wiązanie moralnego porządku ludzkości i dla zbawienia w tym kierunku oddziaływania wielkiem jest w narodzie znaczenie wychowania. Wychowanie młodych pokoleń zawiśle jest przecież w części bardzo wielkiej od kobiety i „jeżeli od kierunku i sposobów wychowania zależy wogóle wyrobienie się charakteru jednostek, a pośrednio wartość tychże, więc od wychowania dziewcząt zależy wartość przyszłych generacyi.“

Potężny wpływ matek uznanym jest oddawna i przez wszystkich. Wzajemne tu oddziaływanie społeczeństwa na kobiety, a kobiet na społeczeństwo, nazywa autor błędem kołem i przytacza znaną, ale zawsze i ciągle godną przypomnienia rozmowę Napoleona I z kobietą, której powierzył kierownictwo najpierwszej we Francyi szkoły kobiet, panią Campan. Na zapytanie cesarza: czego potrzeba dla podniesienia wychowania we Francyi?—zabrzmiła krótka odpowiedź: —Matek... a wielki umysł genialnego człowieka zrozumiał natychmiast doniosłość tej odpowiedzi: „Cały systemat wychowania w jednym wyrazie!“—

zawołał i autor, dochodząc do tejsamej konkluzji, dlatego pisze traktat swój o wychowaniu kobiety, a poświęcając cały rozdział wyłącznie cytatom zdań wielkich myślicieli w przedmiocie ich zapatrywań się na kobietę, jej wpływ i znaczenie w postępowym ruchu ludzkości, chce niewątpliwie wykazać, że po wszystkie czasy i wieki, należące już do cywilizacji, taki był pogląd w kwestyi oddziaływania kobiety na wyrabianie się obywateli i pojęć moralnych. Kobieta jest wśród ludzkości i narodu wychowawczynią, zatem wychowanie jej samej ma dla ludzkości i narodu wagę wielką—ogromną...

Przecież życie każde posiada własny cel, istnieje na własny rachunek i dla własnego rozwoju, przytem nie wszystkie kobiety znajdują bezpieczną uchronę w kole rodzinnem—szczęście własnego ogniska domowego. Autor stawia też pytanie: co mają począć te, którem los nie zapewnił podobnie szczęśliwego istnienia? Twarde warunki ekonomiczne wśród społeczeństw nowożytnych stają się przyczyną tego smutnego stanu; statystyka wykazuje coraz-to zwiększający się procent kobiet samotnych. Jest obecnie 40% niezamężnych po 25 latach życia, a w wielkich miastach stosunek ten wzrasta jeszcze; przytem jest również znaczna liczba wdów, które starać się muszą o własne i rodziny utrzymanie.

Spółczeństwo nie powinno przeoczać tej niedoli, tak licznej. Autor zwraca się przeciw i tu do wychowania, żąda, aby „szkoła dziewcząt uzdalniała je do zdobycia sobie w razach potrzeby uczciwie niezależnego stanowiska.” Wobec potęgającego się coraz przeludnienia i innych warunków, utrudniających byt kobiety, staje się to koniecznością. Pytanie: w jaki sposób dokonać się może? Stawa też przed wychowawcą i prawodawcą, domagając się bezzwłocznej odpowiedzi, raz dlatego, aby ustrzedz się od smutnych błędów i zawodów, następnie, aby nie wytworzyły się mrzonki, niosące za sobą rozstrój i zamieszanie pojęć.

Autor stawia najpierw żądanie reformy wychowania fizycznego. Ten, kto chce pracować, potrzebuje mieć siły odpowiednie, a dzisiejszy stan rzeczy tak grzeszy pod tym względem, poczynając od kolebki, że „na spisanie wszystkich jego błędów nie starczyłoby skóry wołowej.” Pieszczotliwość, brak odpowiedniego ruchu, świeżego powietrza, przesadne wydelikacanie organizmu z jednej strony; z drugiej nauka przedwczesna i przeciążanie nią umysłu—oto zdaniem autora, a dodać trzeba: i wszystkich niemal myślących wychowawców, ciężkie winy wychowania kobiecego. Podnoszą się też potem ich skutki smutne, jako zapory przeciw najlepszym chęciom pracy i życia, wiedzionego w warunkach, jakie praca ta z konieczności wytwarza. Aby społeczeństwo mogło mieć kobiety pracowite i do pracy rzeczywiście zdolne, trzeba przede wszystkim, aby to były istoty zdrowe, trzeba zatem, aby fizyczne ich wychowanie zreformowano co najpilniej.

Jest to prawda tak niezbita, żądanie autora tak ważne i dopomina się on rzeczy tak wielkiego znaczenia, że należy je uznać, jako pierwszorzędne i podstawowe w edukacji dziewcząt klas wyższych i średnich. Zbierając razem wszystko co powiedział, autor konkluduje: „Wychowanie dziewcząt dążyć powinno do tego celu, aby wychowywać istoty szlachetne, obok tego fizycznie czerstwe i zdrowe otyłe, iżby kiedyś mogły podolać powołaniu małżonki, matki i gospodyni domu swego.”

„Następnie wychowanie powinno tak uzdolniać dziewczęta, aby w razie potrzeby potrafiły zdobyć sobie własną pracą stanowisko uczciwe i niezależne.”

Określony w ten sposób cel wychowania wskazuje już i środki, jakich tu użyć należy. Obok oświecania umysłu, rozwijanie sił fizycznych przez życie czynne, w zetknięciu z naturą: prostota we wszystkich jego kierunkach, rozsądne hartowanie ciała, nieprzeciążanie nigdy pracą umysłową, szczególnie w okresie dojrzewania dziewcząt.

Autor zwraca się w tym celu do najłatwiejszego zapewniania dziewczętom pożądanego ruchu i oderwania ich od zbytecznego ślęczenia nad książką, od męczenia umysłu. Zajęcie gospodar-

stwem domowym dostarczy tego w sposób najnaturalniejszy, a dodać trzeba: w sposób wysoce użyteczny, nie tylko dla fizyczności dziewczęcia. Panujący dziś systemat nauki dziewcząt oddala je zadługo od czynnego zajęcia się domem, od gospodarstwa, które przecież dla największej ich liczby jest i będzie zawsze najważniejszą gałęzią pracy, związanej najściślej z dobrobytem i pomyślnością rodzin. Wiele matek odpowiada na czynione im pod tym względem uwagi, że przyjdzie to z kolei; ale nawyknienia młodości mają taki, nieczem nie zastąpiony wpływ na urabianie się gustów i zdolności, że niebezpieczną jest rzeczą odkładać na później i trzymać na planie drugim to, co dla praktycznej strony życia ma wielką wagę—wielką użyteczność.

Naukę uważa autor za jeden z najpotężniejszych środków wychowawczych i nie myli się pod tym względem. Dostarcza ona nie tylko zapasu potrzebnych wiadomości. Kształcąc władze myślenia, rozwijając umysł, dajemy poglądom naszym na życie tę już rozległość, która sprawia, że sąd nasz o ludziach i rzeczach inaczej się kształtuje, do innych dochodzi rezultatów, a te, uszlachetniając uczucie, pomagają do zdobycia sobie szlachetnych zasad.

W całokształcie wychowania ważną dla dziewcząt rzeczą jest wyrobienie w sobie poczucia piękna. Estetyczne wykształcenie smaku jest kobiecie pomocnym nie tylko w jej zajęciach zawodowych. Uczucie estetyczne wspiera nieraz bardzo silnie uczucie moralne, bo to, co jest złem, jest także brzydkim i obudza wstręt w naturach estetycznych. Że tak jest, wątpić nie można, ale zasada to dająca się stosować wyjątkowo i pod tym względem bezpieczniej jest oprzeć się na tem, co autor nazywa wychowaniem duchowym, a które obejmuje obok kształcenia wyobraźni, rozsądku i rozumu, kształcenie uczuć moralnych i religijnych, woli i charakteru. Jest przecież w wyrobieniu smaku estetycznego jedna wielka dźwignia moralna, którą autor pomija: a to obrona przed lichą, przed złą książką, przed czytaniem psującym, które brudzi wyobraźnię i tępi wstręt naturalny do brzydoty nieczystych. Niebezpieczeństwo to jest moralne większe, niż się komuś na pierwszy rzut oka wydać może, a które dziś przez upadłą literaturę francuską niebezpieczeństwo nam dostaje. Nie wierzę w dobry, w szlachetny smak kobiety, której ta dzisiejsza powieściowa literatura francuska wstrętu nie sprawia.

Nauka, zawierająca się w kształceniu uczuć religijnych, moralnych i estetycznych, nie wystarczy jeszcze na dobre wychowanie, jeżeli nie przyjdzie jej z pomocą przykład dobry. Powinien on otaczać dziecko: powinni mu go dawać nauczyciele i nauczycielki, lecz przede wszystkim i nade wszystko „rodzice powinni przyświecać dziecku przykładem religijności, moralności i poczucia piękna.” Skoro postępowanie rodziców zadaje kłam tym pojęciom o złem i dobrem, które głosi wychowanie i chce je wszczepić w umysł, w uczucie dziecka przez nauki nauczycieli i tychże samych rodziców—na nie się to nie przyda, chyba na wytworzenie hypokryzji. Przykład—jak słusznie utrzymuje autor—pobudzający do naśladownictwa, uczy dziecko czuć i myśleć, żyć uczciwie.

A dodać tu jeszcze trzeba, że dziecko składa sobie w pamięć, jako zapas dla przyszłości, to nawet, czego na razie nie rozumie, i biada rodzinom, gdzie te wspomnienia stanowić muszą czarną dla wyobraźni plamę. Dziecko, dorastając, sądzi. Jeżeli jedynie wrodzona szlachetność ducha i jakaś pomoc dobrych przykładów, poza wpływem rodziców działająca, podniesie istotę młodą na wyższy szczebel moralności—rozbudzi w niej wyższe uczucie dobra i piękna moralnego: co za okrutna tragedia rodzinna! jakie cierpienie i jakie szkody dla stron obu!

Samodzielność uważa autor za przymiot niezmiernie doniosłości w życiu kobiety. Człowiek, który go nie posiada, jest niedołącznym i schodzi na nicosć moralną; nie przyda mu się też na nic najrozleglejsza wiedza, najgłębsze wykształcenie umysłu, bo nie zużytkowane w życiu skarby, nie jako nie istnieją.

Człowiek pozbawiony samodzielności najczęściej pada na wpół drogi do celu pod nawałem spiętrzonych przeciwności. Kobieta powinna też, taksamo, jak mężczyzna, wyrabiać ją w sobie i uważać za cnotę wielką. Niewiedzie powołanie każe jej obracać się przeważnie w sferze rzeczywistości; wymaga ciągłego wydatku energii i ruchu w sprawach życia napozór drobnych, i jeżeli nie będzie posiadać samodzielności, prędko ulegnie pod tym ciężarem, stanie się manekinem, którym rutyna rządzić będzie, i w wielkich, stanowczych chwilach życia braknie jej tej siły, która samodzielnie zdobywa się na czyn wzniosły, na poryw ducha wyższy.

Wychowanie, wyrabiając w istocie młodej charakter, szczepiąc jej w pierś szlachetne uczucia, dając umysłowi przekonania i pojęcia, ma przecież obok tego i cel drugi: uzdolnienie do życia, przygotowanie do jakiegoś zawodu, który byłby praktyczną pracą człowieka. Do zajęć domowych, gospodarczych, powinna przede wszystkim matka kształcić córkę; ta, która tego nie robi, uważając to za rzecz podrzędną, na którą w wychowaniu szkoda czasu, myli się i źle czyni, bo przez to gospodarstwo domowe kobieta jest podskarbiną majątku rodziny. Do zawodu macierzyńskiego nakazuje autor kształcić się młodej pannie, pielęgnując młodsze rodzeństwo, a nawet przez pewnego rodzaju praktykę w żłobkach i ochronach, w szkołach ludowych. W chlebobadnych przemysłowych zawodach, powinna niewątpliwie kształcić się niezamożna, aby mogła zapewnić sobie własną pracą byt uczciwy i wtedy, gdyby samotnie zostawiona wśród życia, musiała oprzeć się na tej pracy jedynie.

Kursa uzupełniające (powtarzania) przy wydzielonej szkole żeńskiej we Lwowie; kurs praktyczny robót kobiecych w krakowskiej wydzielonej szkole żeńskiej, kurs handlowy dla kobiet przy tejże wydzielonej szkole żeńskiej w Krakowie, prywatny kurs handlowy Stronera dla dziewcząt we Lwowie—oto zakłady, które w Galicji otwierają kobiecie drogę do owej pracy, na której, przy uzdolnieniu, jakie wymienione szkoły dają, może się już oprzeć torująca ją sobie przez życie.

Za poruszenie tej sprawy, za zwrócenie na nią uwagi publicznej, należy się szanownemu autorowi tego studium nad praktyczną stroną wychowania kobiety wdzięczność, tak tej, którą rzecz ta dotyka, jak tych, którzy z nią współczując, ważność poruszonego przedmiotu rozumieją.

M. Ilnicka.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXVIII.

Dienniczek Justysi, komedia w 1-ym akcie Józefa Kościelskiego. **Partya Winta**, komedia w 1-ym akcie, Jordana.—Benefis pani Waleryi Niewiarowskiej. Trochę Corneille'a na naszej scenie.—Wystawienie **Lisa w Kurniku**, 5-cio aktowej komedyi p. Kazimierza Zalewskiego na scenie Teatru Rozmaitości.

Dawno już nie patrzyliśmy na tak ładny kwiatek dramatyczny, jakim obdarzył scenę naszą,—ku zadowoleniu tym razem już wszystkich, zarówno widzów jak krytyków—autor *Dwóch miłości*. Komedią to nazywać—zawiele, obrazkiem—zamało. Jest to poemacik, pisany prozą, ale jak wraz dominujący jest wiersz. Niema w nim działania i intrygi, efektów i niespodzianek: jest szczerzy, czysty, a rozumny liryzm, który rozrzuca zarazem i rozgrzewa, a przez założenie swoje obudza ruch w umyśle. Wszystkimi to jest styl, z bardzo nielicznymi wyjątkami, wzorowy, zastopowany do przedmiotu, świeży, jedyny, tchnący prawdą, swobodny, rozporządzający zarówno uczuciem, jak humorem i dowcipem. *Dienniczek Justysi*—to jeden z tych utworów, które zostają, nie tylko na scenie, ale w literaturze dramatycznej.

nej, i gdy już słuchaczy tracą, znajdują jeszcze czytelników.

Dwa pokolenia stają tu przed sobą i dwa prądy życia. Starość przyjaźnią złączona, pragnie szczęścia młodości, którą już zaczęła łączyć miłość. Ale starzy nie znają młodych i nie rozumieją ich; młodzi znowu żyją bezwiednie i sami nie wiedzą, co w nich jasnością jest i siłą. P. Opolski, ojciec Gustawa, martwi się, że wychował syna bez poezji; ale gdy widzi i Justysię prozaiczną, nie waha się ułożonego z przyjaciółką małżeństwa dzieci przyprowadzić do skutku: dobrali się, są dla siebie stworzeni, — będą szczęśliwymi. Dobrali się rzeczywiście i pobiórą się, ale nie proza życia ich połączy: niepejsuta młodość znajdzie jeszcze w sobie poezję. Justysia, wychowana przez matkę praktycznie, nietylko jej samej wydaje się istotą prozaiczną: również i przeznaczony jej na męża Gustaw uważa ją za chodzącą tylko prozę — i z trwogi przed nią uciekać już zaczyna. Dopiero zwierzenia dziewczęcia, osadzają go na miejscu, a wyzwolone z pęt rozsądku serce, przez wszystkie przemysły i inżynierje przebija się do „zeznanej miłości wyrazu“ — wielkiego naszego poety. Młodziem sam zadowolony jest ze swej prozy, nie czując nawet, że właśnie tą prozą objawiła się w nim poezja — najszczerzej, gorącej, nie wyrachowanej miłości. Dziewczę pało kury i ciętła, ale tęskniło do ambrozyi i nektarów dla własnego ducha.

Tęsknoty te wypowiada Justysia w dzienniczku swoim pomiędzy przepisami kuchennymi i gospodarczymi. Są tam myśli bardzo poetyczne, piękne, dobrane odpowiednio do myślącego przedmiotu; zbyt olbrzymim tylko jest krzak ognisty Mojżesza. Doskonale wprawdzie wyzyskał go autor dla dowcipu włożonego w usta p. Opolskiemu, ale psychicznej niestosowności takiego już filozoficznego myślenia, w takiej, bądźco bądź, wielkiej duszyczce — nie uratował. Bardzo za to pochwalić mu potrzeba tę powściągliwość, z jaką dzienniczek usunął zupełnie ze stosunku serdecznego i nie dał mu żadnej roli apostolskiej, nawracającej Gustawa ku powabnemu dziewczęciu. P. Opolski ma zupełne prawo wskutek poznania dzienniczka zrywać małżeństwo swego syna jako niegodnego takiej istoty; p. Wolska ma prawo poznawać swój błąd dopiero po poznaniu spisanych rojeń swego dziecka: ale sami młodzi, mając żywe serca, bez martwych dzienniczków obyć się już mogą. Sposób, w jaki pilnują, aby tatarak był należycie ściętym — ten naiwny nadzór sprawowany we dwoje, w łódce i przy blasku księżyca — daleko większą ma wartość od wykrzyków, jakimi by mógł Gustaw objawić swe szczęście po odkryciu marzeń i tęsknot dziewczęcia.

Inaczej być nie mogło: przeznaczeni dla siebie, w końcu poematu są już narzeczonymi. W tem tkwi cała charakterystyka ich indywidualności, że nie pobierają się jako dwoje samolubów, silnie do ziemi, do wszystkiego, co niskie i małe, ciężkich, — ale jako dwie istoty, zdolne kochać prawdziwie, czuć wartość ideału i wartości tej wewnętrznej treści swoją odpowiadać. Niespodzianka spotyka tylko ich rodziców: oboje młodzi okazują się dla nich w końcu sztuki niespodziankami. P. Wolska, przy skromnym kolorycie swoim, jest i w radości umiarkowaną, ale szlachetny Opolski, młody starzec, który nam niejednę prawdę z życia, o życiu powiedział, — czuje się bardzo szczęśliwym, gdy błąd swój poznał i z przyjemnością najgłębszą woła na siebie, że był osłem.

Zakończenie dramatu bardzo zręczne, zwięzłe, szybkie, bez deklamacji wyraziste, zaliczam do najszcześniejszych pomysłów takiej dramaturgii sytuacyjnej, że ją tak nazwę, gdyż wszystkim w niej jest ukazanie i przedstawienie pewnych stanów duchowych. W Dzienniczku szło o odmalowanie stanu poetyczności uczuciowej jako siły w duszach młodych ukrytej.

Wolską, matką Justysi, była na scenie pani Rakiewiczowa. P. Rapacki jako Opolski był trochę za ostrym, i powierchownym; więcej głębi, siły i słodczy — tych znamion mądrości życia własnym trudem zdobytej — przydałoby się temu charakterowi. Samem tylko przytoczeniem nazwiska nie można zbyć panny Wisnowskiej. Jej

Justysia jest znakomitą, szczególnie w ostatniej scenie, kiedy dziewczę kryje głowę na kolanach matki, a chwilami podnosi ją, aby rzucić słówko kochankowi, opowiadającemu: jak to było. Gra artystki odznacza się tu takim wykończeniem, że łatwo być niesprawiedliwym dla autora, i całą zasługę sprawionego wrażenia przyznać artystce. P. Prażmowski wreszcie miał dwie dobre chwile: kiedy się ojcu na szyję rzucił, krzycząc „Tatarak, tatarak“ — i jak szalony, wybiegał za Justysią i drugą, podczas opowiadania zakończonego *Dzienniczek*.

Dlaczego Jordan — tajemniczy autor *Wędrówek i Słomianego Człowieka* — lekkał się wyrazu „farsa“ a odważył się na rzecz samą? Jego *Partya Winta*, nazwana „komedią“, zrobiła zawód i publiczności i krytyce; nawet czytelnicy afiszów teatralnych mogliby gniewać się na autora. Mamy tu do czynienia z farsą, i to nie najlepszego gatunku. Nie wesołość jest jej grzechem, jak nie może być grzechem żadnej szczerzej, już istotnej komedii, ale metoda wesołości. Ma ona w sobie coś — cyrkowego. Stolik z winciarzami, przewrócony przez tańczącą parę, oznacza kulminacyjny punkt komizmu, a matka uważająca tancerza za konkurenta do swej córki tylko wskutek tego, że oboje upadli w tańcu, wprowadza w sztukę jedyny może motyw psychologiczny. Dodać jeszcze potrzeba, że nawet owego wywrócenia winciarzy ze stolikiem i stolika z winciarzami nie umiał, czy nie chciał, Jordan należycie przyprowadzić, tak, aby nie wydało się ono umyślnie urządzonem tylko dla paradyżu. Historyjka z mężatką i sowizdrzałem, usprawiedliwienie okrytki damskiej z *alibi* — całe to niedosłone porywanie z balu pozbawione jest wszelkiej charakterystyki indywidualnej, prawdy namietności, istotnego życia. Autor malował tu przez ogólny patron — i wymalował źle. Cała sztuka mogła się była zachować na jaką scenę prowincjonalną. Domyślić się w niej nawet nie można pazurów „delegata“. A szkoda, bo sam przedmiot nadawał się wielce do wyśmiania ze sceny. Wint stał się u nas istną plagą społeczną; zabiera czas, pieniądze — i rozum, tak: rozum, bo nie pozwala mu działać, obezwładnia go stale na kilka godzin dziennie. Fanatyzm wintowy tłumi resztki zamiłowania do książki, uniemożliwia poważniejszą wymianę myśli, nawet towarzystwo krzywdzi, bo je rozrywa; a tak namietnie rozpala czerpiących z jego krynicy, że nawet obowiązek najprostszej uprzejmości nie zawsze wychodzi cało z tych turniejów inteligencji karcianej.

Same postacie winciarzy, zapasy ich stolikowe, ich ambitne dążenia, namietności — mógł być taki dostrzegacz, jak Jordan, daleko lepiej w zwierciadle satyry odbić. Ja sam widziałem pyszniejsze okazy w życiu, niż te ukazane nam teraz ze sceny. Nie przewracano stolików, ale przewracano zdrowy rozsądek, robiono wielkie rzeczy z małych, swarzone się i wyrzucano sobie wzajem złe wyjście lub niedobre przyjście z kolorem. Godzina za godziną wybijała, już jako ostatnia, i dopiero znużenie ostateczne wypędzało sennych panów myśliwych z kniei ciągłych licytacji, zadawań, lew nadrabianych, lub niedorabianych, szlemów — i kto tam wie nie czego! Kobiety mają zupełne prawo wstrząsać ramionami, na tych panów stworzenia — zamykających swoje panowanie, na czterech łokciach kwadratowych zielonego sukna. W Warszawie jeszcze nic, ale na prowincyi, w większych niby miastach, w których już wilej zimową porą burmistrzów nie zjadają, wint jest istotną klęską społeczną, wyrażającą się w ogłupianiu umysłów mężkich, które i tak rozumem nie grzeszą. Całej tej właściwie satyrycznej strony Jordan nawet nie dotknął, nie ukazał jej, choćby z jej śmiesznością, jeśli nie z tym poważnym podkładem, jaki wszelka satyra w sobie mieć musi.

O grze artystów niema co mówić. Gra nie była trudna. P. Ostrowski roześmiał, jako Piskowski. Jedyny dobry dowcip sztuki: „literat z kamienicą“, doskonale brzmiał w jego ustach.

D. 11 Listopada 1853 r. wystąpiła pierwszy raz na naszej scenie w roli niewiniątka w *Niemowie* młodziuchna panna Walerya Łapińska. Dziś, po 35 latach, jeszcze czerstwa i silna pani Walerya Niewiarowska nie opuściła sceny i słu-

ży jej użytecznie dobrem odtwarzaniem starszych kobiet, nietylko w zakresie charakterystyki rodzajowej, ale i w momentach dramatycznych. Artystce należał się benefis; nie odmówiła go dyrekcyja. Na benefisie d. 24 Marca r. b., sama p. Niewiarowska ukazała się jako wdowa z *Ballady* w wyjątku z pierwszego aktu, kiedy to Kirkor przybywa do ubogiej chaty, i jako Szenionowa w *Zydach*. Druga ta rola, wzięta w dwóch osobnych chwilach dramatu, nosiła na sobie przeważnie charakter wykonywanego żywym słowem typowego portretu. Z takim zamiarem pisał ją sam Korzeniowski. Benefisantka wywiązała się z zadania swego dobrze. Zewnętrzny układ i samo wysłowienie przypominały Halpertową i jej szkołę.

Na benefisie p. Niewiarowskiej mieliśmy prócz *Ballady* inną jeszcze niezwykłość: dwa wyjątki z *Cyda* — s. p. Cyda: tak już dawno, kiedy go słuchano u nas od początku do końca! W Odeonie grają go do dziś dnia — grają dobrze, a słuchają przyzwyczajenie. Zawsze jednak to już nie strawa dla nowoczesnego, przez życie i sztukę zdenerwowanego człowieka: więcej czci, niż przyjemności. Dwa wyjątki: sceny II—V aktu IV i scena I aktu V, okazują naprężenie dramatyczne górujące nad deklamacją, i wybór ich był dobry. Do przedstawienia wzięto przekład Ludwika Osińskiego. Ximena (Chimena) była panna Noiret, Rodrygiem p. Kotarbiński. Artystka musi widać szczerze pracować nad swoim głosem — bogatym, ale nie pięknym, — bo dostrzegliśmy w używaniu go teraz znaczną poprawę: skala z bassu przenosi się już wyżej i nabiera dźwięczności. Poczucie tragiczności p. Noiret ma niezwykle, a w młodym wieku artystki czas, przy pracy, tylko jeszcze potęgować i uszlachetniać je może. Czy tylko znajdzie się pole odpowiednie dla rozwinięcia niewątpliwego talentu? Dowiodła go znowu artystka w Xymenie. Szczególniej wiersze „Niech wszystkie męki los na mnie zgromadza“ i t. d., deklamowała z żywością, z serdecznem drżeniem. P. Kotarbiński poruszył widzów ostatniem swoim zaklęciem: „Powstańcie teraz wszystkie potęgi, choć z piekła!“

Z nowych sztuk przedstawiono w Teatrze Rozmaitości (d. 6 Kwietnia) nie nowego już *Lisa w kurniku*, p. Kazimierza Zalewskiego. Sztukę tę można już było widzieć na scenie w Warszawie w r. 1885 w jednym z teatrzyków prowincjonalnych. Zdanie o niej wypowiedziałem wówczas w numerze 33 *Bluszczy* (r. 1885). Obecnie autor dodał do swej sztuki komentarz w postaci rozmowy na raucie. — Rozmowę tę zamieścił *Kurier Warszawski* z r. b. N. 96 wydanie wieczorne p. t. *O nowej komedii*.

Stanisław Krzemiński.

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Po powrocie znad jeziora Tanganyika Stanley zreformował i odświeżył karawanę swoją, nałożył na nią dyscyplinę surowej karności, zabezpieczył szczególnie przed utratą broń palną i zwrócił się w stronę krainy Manyema, której natura „strasznej piękności“ dała właśnie jego pamiętnikom karty pełne obrazów, silnie zajmujących wyobraźnię. Kraj górzysty, pełen strumieni, kaskadami spadających w doliny, zieloność najpyszniejszej i najrozmaitszej barwy, a wszystko rozmiarów olbrzymich. Tu wszystkie już trawy i zioła są kolczaste, kłóją do krwi i przerzynają stopy ludzkie jak noże; trzcina dochodzi rozmiaru i tęgłości bambusów, liany są długości zwitych powrozów, kwiaty dzwonkowate przedstawiają dla oka jakgdyby dzbany i czary, cierni ma kolce zabójcze, drzewa wznoszą korony swoje na sto stóp ponad ziemię. Lasy mają podszycia niedającej się opisać roślinności i budzą w człowieku uczucie

razem podziwiania i przerażenia. Stanley pisze też, że w języku krajowców nazwa lasu już to poniekąd oddaje. Ludzie są też odpowiednio silni; ich drewniane puklerze są ogromne jak „podwoje drzwi”; ubiór ich: wążki fartuch, jest ze skóry antylopy lub z tkaniny roślinnej. Z gliny lepią sobie coś, jak czapki czy przyłbice; u niektórych są przytem rogi z gliny także. Kobiety stanowią pod tym względem różnicę od innych Murzynek, że mają włosy długie i bogate, przeplatają je i zdobia słomą, puszczając na ramiona w bujnych lokach. Widzieć je można z koskami na plecach, idące łowić ryby po lagunach, lub do lasu po drzewo na opał. Znoszą je do domu w rzemiennych pasach, które zakładają na czoło. Odkrycia Stanleya w tej krainie mają też swoją wagę naukową i tu spotkał się on ze sławnym w dziejach jego podróży Arabem: Hamed ben-Mohammed, inaczej Tippo-Tib. Arabów jest tu bardzo dużo; ludność miejscowa, zwłaszcza kobiety lękają się ich i za ujrzeniem uciekają z krzykiem. Ale to drapieżne i w stosunku do Murzyna okrutne plemię, przeraża się, tępiąc srogo Czarnego Człowieka Arab zwalcza się sam przez synów, zrodzonych z matek Murzynek i Tippo-Tib już to przedstawia. Wysoki, z czarną brodą, z intelligentnem i pięknem okiem arabskim, ze szlachetnemi rysami i kształtami Araba, ma już skórę pół-czarną.

Musi z czasem dojść do tego, że Arabowie ze Środkowej Afryki zmurzynięją. „Cham niewolnik udusi przez kobietę swoją syna Semowego” — pisał Stanley, który w dalszej podróży związał się z Tippo-Tibem. Dnia 6 Listopada ruszono w drogę i zaraz wkrótce zapuszczono się w las Mitamba, którym Murzyni straszili Stanleya, jakby jakimś miejscem okropności, i nie bez racji. Wchodząc tu, podróżnik żegna się ze słońcem i wstępuje w państwo wiecznego mroku. Gąszcze krzewów, podszywających las, dochodzą do dwudziestu stóp wysokości, a grunt jest ciemno-brunatny, miękki i elastyczny pod nogą, wytworzony z wielowiekowego próchna drzew, przegniłych liści i kory, wciąż wilgotny przez niezmiernie obfite rosy, spływające z drzew. Tworzy on warstwę próchnicy gorącej i potężnie płodnej, przetkanej, przeplecionej we wszystkich kierunkach korzeniami i korzonkami drzew, krzaków i ziół, splecionych, zmotanych, i tworzących jakoby sieć. Panuje tu nigdy nieprzerwany spokój powietrza, bo żaden powiew wiatru z przestrzeni otwartej dostać się tu nie może — w te zarosłe i gąszczce; powietrze w tym zastójnym spokojnym jest tak ciepłe i wilgotne jak w oszklonych cieplarniach. Najgwałtowniejsza burza może się srożyć nazewnątrz, nie dochodząc tu i łamiąc siłę swoją wobec tej fortyfikacji natury.

Młode drzewa dają się też wyciągnąć z gruntu bez żadnego oporu i korzenie ich, jak krzaków i krzewów wszelkich, nie dosięgają do warstwy spodniej, gliniastej. Drzewa nawet, olbrzymy roślinnego świata, nie zagłębiają się wewnątrz, jak to widać przez korzenie na polu odkryte i nagie. Zdają się one trzymać więcej przez szerokie podstawy swej rozgałęzienie, niżeli przez jej ujęcie się w ziemi.

W lasach afrykańskich w ogóle, a tu w szczególności, nie może być mowy o cichości; brzęczenie i szmer nieokreślony, głosy niedające się nazwać panują tu stale i nieustannie napęlniają powietrze. Miliony owadów, robaków skrzydlatych, pełzających, much, muszek, świerszczów, żabek drzewnych i żaby-wołu, ropuch, a dalej rozmaitych skoczaków, zwierzaków, gatunków wiewiórek; świsty i śpiewy ptaków, złączone ze szmerem liści, z nieustannem upadaniem orzechów, żołądzi i owoców, których tu nikt nie zbiera, szum kołyszących się w górze wierzchołków — wszystko to wytwarza razem koncert natury pierwotnej, którego — jak pisze Stanley — chyba już nigdzieindziej słyszeć nie można.

Podszycie lasu, a jak tu, raczej las dolny, nazywa Stanley cudem roślinności. Składały go wrzosi, zioła ostre, trzciny, orchidee najrozmaitsze i najbogatsze, oplatane lianami, akacje, tamaryndy, dzikie wino i inne pnące się rośliny, palmy wszystkich gatunków, wachlarzowe, daktylowe. Setki, tysiące krzewin tworzą zarośla,

gdzie każda drzewina, krzew każdy, kłóci się niejako o miejsce z sąsiadem; o każdą piędź ziemi tej jakgdyby, inspektowej, na której wszystko to bui, rozwija się, pnie w górę w całej pełni dzikiego zbytku form, jakoby pierwotnego świata. Pochód też z każdym krokiem stawał się trudniejszym i w końcu ta twierdza natury wydawała się już niezdołana. Stanley musiał zorganizować kompanię pionierów, którzy z siekierami w ręku torowali drogę orszakowi.

Wśród tego to lasu bez końca, gdzie „noce miały ponury charakter, jakieś nieziemskiej ciemności, a świtanie dnia przedstawiało dzikie misterium pierwotnej natury” odegrał się dla Stanleya najważniejszy akt dramatu jego podróży. Tippo Tib, codziennie pójściwszy, objawił mu w końcu, że go porzuci, jeżeli uparty i nieważący nie życia, nie zawróci w tył wraz z nim. Nawet jego własni ludzie szemrali, i można się było lękać, czy zły przykład nie przywiedzie ich również do zbiegostwa. Stanley musiał też parlamentować. Niech jeszcze trzy dni wytrzymają, a jeżeli nie się nie polepszy w warunkach podróży, zgodzi się i on na odwrot, na szukanie dla celu swego drogi innej, gdy nagle zaszła okoliczność zmieniająca z gruntu położenie. Dnia 19 Listopada, więc w trzynastodni po zapuszczeniu się w tę puszczykę leśną, odkryto niespodziewanie wodę: wielką, bieżącą wodę — wspaniałą bardzo rzekę. Stanley przez pamięć na angielskiego podróżnika, którego przerwana pracę niejako wykończył, nazwał ją „Livingstone”. Ale geografowie nie przyjęli tej nazwy, bo o tej wielkiej arterii wód afrykańskich wiedziano przed nim już w XVI wieku i dawano jej wtedy nazwę Kongo, która utrzymać też została na całej linii jej wód.

Wody te przedstawiały tu jedyną przestrzeń otwartą dla wzroku, lecz nie ukazał się ztamtąd żaden widok pocieszający podróżników. Jak oko mogło dojrzeć po obu jej brzegach ciągnął się las: dwie ściany drzew nieprzejranych, nieróżniących się niczem od przerażających zarośli, które przebywano, i karawana tem gwałtowniej zaczęła się domagać odwrotu. Stanley nie znalazł jeszcze sam ważności tej drogi wodnej, która otwierała się przed nim. Nie wiedział: z kąd wypływa i dokąd dąży, czy nie zawraca się nagle, nie skręca w kraj Rumanika; ale niemniej odkrycie to ożywiło w nim zapal już gasnący, dało mu rzutkość nową. Ważyły się tu losy jego, i po godzinie samotnego namysłu nad brzegiem wód, kryjących w sobie tajemnicę jego losu, powziął nowe postanowienie. Wrócił do obozu karawany, kazał dobozowi uderzyć w bęben, i gdy tym sposobem zgromadził wokoło siebie wszystkich, przemówił do nich, tłumacząc im ważność odkrycia. Ta wielka rzeka, która od stworzenia świata płynie tu w ciszy i samotności, nieznana (jak sądził) nikomu, zaprowadzi ich łatwo i lekko aż do morza i zapewni chwałę wielkiego odkrycia, jeżeli, puściwszy się z jej biegiem, dokonają dzieła swego w całej rozciągłości.

Ale nikt nie zapalił się do tego. Głuche milczenie było odpowiedzią aż nadto wymowną. Zrozpaczony, użył ostatniego środka. — Dobrze! — zawołał — niech wraca poza siebie kto chce, niech wraca natychmiast, nie zatrzymuję go! Ale kto ma serce wierne i odważne, nie opuści mnie, bo ja już nie zawrócę. Może zginę, ale nie okażę się tchórzem, nie zawrócę. Puszczę się wodą, choć z garstką małą.... najmniejszą....

I teraz nikt nie odpowiadał. Stanley stał przed nimi i bladł; ale w odpowiedzi, gdzie są ludzie, znaleźć się musi jakieś jedno serce szlachetniejsze, które w chwilach podobnych uderzy bohatersko. — Kto mnie nie opuści, kto nie chce zostawić mnie samego, niech stanie przy mnie.... — zawołał — i Murzyn, który był sternikiem na *Ladg Alicyi*, gdy przepływano jezioro Nyanza, wydział się z tłumem i padł mu do nóg. — Ja pójdę z tobą, panie!.... — zawołał, a przykład stał się zaraźliwym: trzydziestu siedmiu ludzi z jego własnego orszaku poszło za nim, ale dziewięćdziesięciu pięciu nie ruszyło się z miejsca. Stanley przecież nie stracił ducha: — Dobrze.... — rzekł — dość mi jest mieć ze sobą taką gromadkę odważnych. Bóg nam pomoże....

Daremnie Tippo Tib usiłował odwieść go od

zuchwałego zamiaru: już on cofnąć się nie chciał za żadną cenę. Zabrał się też zaraz do przygotowań potrzebnych, do składania statku, i ta jego śmiałość, to meztwo, niechcące zaniechania go jest trudnem, oddziało w sposób niespodziewany, nie tylko już na jego służbę, ale i na Arabów. Zanim zapadła noc, którą miano spędzić po raz ostatni ze sobą, wszyscy zawołali: — Nie! nie opuścimy cię.

Wtedy Stanley podzielił na dwie części orszak swój, zbyt liczny, aby mógł zabrać się w całości na szalupę. Przygotowano i kilka wielkich łodzi, ale to wszystko nie starczyło jeszcze. Na statek zabrano więc największe ciężary i zapasy najważniejsze, następnie utworzono kolumnę pieszych, która pod wodzą Franka Paacock, posuwała się brzegiem tak, że nie tracono się z oczu i porozumiewano się ze sobą przez hasła umówione, a noc łączyła znowu wszystkich razem, bo obozowano w lesie, który przecież nie był tak zupełnie pustym, jak przebywane poprzednio. W głębi, poza zaroślami nadbrzeżnymi, znajdowały się wsie murzyńskie, których ludność uciekała gromadnie, przestraszona widokiem nieznanym i niewidywanym z tu nigdy ludzi obcych. Nawet w podaniach swoich ludność ta, najzupełniej już dzika, nie znajdowała żadnej wzmianki o przybyszach, a zwłaszcza o człowieku białym, i uciekano tak, że podróżnicy znajdowali całe wsie puste, z których nie nie uniesiono, nie zabrano ze sobą, a że kraj był bardzo żyzny, spotykano znaczne zapasy nagromadzonej żywności. Półtrafiono jednak ując czasem jakąś kobietę, lub dziecko, jakiegoś starca, zesłabłego i od nich dowiedziano się o trwodze, jaką widok nieznanym ludzi budził, co przecież nie trwało długo.

Podpatrzono nocami obozowisko i zaczęto otrząsać się z trwogi, lecz zarazem powstał zamiar rzucenia się na obcych. Raz nawet, 8 Grudnia, usłyszano w obozie bębny i trąby wojenne dzikich, a wkrótce czternaście wielkich łodzi, niosących afrykańskich wojowników, podплыło pod obóz z krzykiem, wyzywającym przybyszy, aby wystąpili z niemi do walki. Stanley kazał odpowiedzieć przez ludzi, rozumiejących mowę krajowców, że są podróżnikami, którzy wojować z nikim nie pragną, i używają tu tylko odpoczynku nocnego, aby nazajutrz puścić się dalej. Nie uwierzono temu przecież, czy wierzyć nie chciało; wśród dzikiego wycia jedne łodzie podplwały tak blisko, aby ciskać na obóz jadowicie zatrute strzały, gdy drugie okrężały przyladek z zamiarem wylądowania. Stanley dopuścił ich możliwie najbliżej, aby potem dać ognia z trzydziestu strzelb, a skutek okazał się nieomylnym. Z wrzaskiem i krzykiem namiętnym cofnięto się, ale tylko na środek rzeki; wtedy Stanley rzucił się wraz Tippo-Tibem w szalupę ukrytą wśród zaroślej zatoczki, który to widok stał się powodem dzikiego wrzasku i forsownego rzucenia się łodzi murzyńskich na zdobycz pożądaną. Ale walka trwała pięć minut. Stanley pozwolił zbliżyć się czarnym na taką odległość, aby żaden strzał nie był daremny, a wtedy nastąpiła ucieczka, po większej części wpływ, wśród jęków i wycia, jakgdyby zwierzęcego.

Nastąpiła jeszcze jedna potyczka na lądzie, rozpoczęta o schyłku dnia, gdy chciało urządzić sobie nocleg, a trwająca do dwóch godzin po zachodzie słońca. Ale noc, która zapadła, nie przyniosła jeszcze spokoju, dziki głos trąb ze słonowej kości rozlegał się do rana po lesie, wraz z najdzikszyimi krzykami, a od czasu do czasu gromada jakaś, lub pojedynczy wojownik czarny podsuwał się pod palisadę obozu, wzniesioną na prędce, gdy z drugiej strony Stanley i oddział strzelców, leżąc ukryci w trawie, posyłali kule swych karabinków w zarośla nadwodne. Gdy nazajutrz szalupa ukazała się na rzece, utarczki powtórzyły się; łodzie murzyńskie wysuwały się zdradziecko z trzciny i szuwarów nadwodnych, miotając strzały, powtarzało się to samo, gdy mijano drobne, gęsto też zarosłe wysepki, a zewsząd wznosiły się dzikie okrzyki i hasła wojenne. Daremnie czarni z orszaku Stanleya wołali: — Sennene! Sennene! (pokój) odpowiadały im wrzaski namiętne, bo przebywano te właśnie krainy Afryki,

gdzie czarny człowiek jest ludożercą i zjada niewolników wrogiego plemienia. Powierzchność jego już okazuje dzikość i półzwierzęcość tej istoty ludzkiej: szeroko rozcięte usta o grubych wargach, kwadratowe zęby, niskie czoło, nad którym widać się krótkie, kędzierzawe włosy czarne. Murzyn jest tu straszniejszym od lwów i tygrysów ojczyzny swojej, bo dzikość jego zachowuje instynkt zwierzęcy, łączący się z błyskami inteligencji człowieka, których używa zbójcecko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Bezimienny ofiarodawca** złożył 50.000 rs. na budowę kościoła Ś-go Floryana na Pradze. Dzięki tej pobożnej hojności mury kościoła mogą być wzniesione i pokryte dachem jeszcze przed zimą.

— **Wystawa inwentarza** na Polach Ujazdowskich, zapowiedziana na Czerwiec, jak to zwykle bywało, została odwołana z powodu braku funduszy na jej urządzenie.

— **W Wilnie** odbędzie się w połowie Września wystawa rolnicza. Mieścić się będzie w Ogrodzie Botanicznym i na Cieletniku, a trwać dni dziesięć.

— **Pomnik dla uczczenia zasług Pola** zostanie wzniesionym w Krakowie w kościele Franciszkańskim. Będzie on wykonany z pińczowskiego czerwonego marmuru; na płycie otoczonej odpowiednim ujęciem będzie umieszczone popiersie poety. Pomnik ten, dłuta rzeźbiarza Lewandowskiego, ma być gotowym na d. 15 czerwca.

— **W Sukiennicach** wystawiono cykl obrazów Matejki, przedstawiających dzieje cywilizacji w Polsce. Jest ich dwanaście: Chrzest Miecysława I-go; Koronacja Bolesława Chrobrego; Władysław Herman, przyjmujący żydów; Zjazd w Łęczycy; Po bitwie pod Lignicą; Kazimierz Wielki zakładający katedrę lwowską. Założenie Uniwersytetu Krakowskiego; Dysputa humanistów ze scholastykami w dziedzińcu kolegium Jag; Humanizm na dworze królewskim; Elekcja Henryka Walezyusza. Stanisław August. Cykl jeszcze nie jest skończonym.

— **Jubileusz Juliusza Kossaka** będzie uroczystością obchodzoną w Krakowie, w miesiącu Czerwcu, staraniem tamtejszego klubu malarzy i rzeźbiarzy. Malarze, zaproszeni do współudziału, wykonają kartony, z których ma się złożyć album, stanowiące dar jubileuszowy. Niektóre z tych kartonów będą wystawione na czas krótki w Krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych. Dla otrzymania pożądanej charakterystyki, artystów, biorących udział w tym dziele, kartony te: akwarelle, gwasze i rysunki ołówkowe, będą kompozycjami oryginalnymi. Nadesłano już przeszło 80 kartonów. Adres pod którym utwory te przesyłane być powinny jest: „Klub malarzy i rzeźbiarzy w Krakowie.”

— **Jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy** zasłużonego zbieracza ludowych pieśni naszych, Oskara Kolberga, obchodzić się będzie w Krakowie bieżącym miesiącu. Owocem pracy jego jest 25 tomów zebranych pieśni z nutami i rycinami, oraz z opisami strojów i obyczajów właściwych okolicy, z kąd pieśni te i ich melodye zostały wzięte. Mieszczą się w tym zbiorze nieocenione skarby dla poety, muzyka i historyka cywilizacji, zwłaszcza, że szanowny ich zbieracz jest nie-

zmiernie sumiennym i ścisłym w swej pracy. Uroczystość jubileuszowa obchodzić się będzie wieczorem muzykalno-deklamacyjnym.

— **Na posiedzeniu Towarzystwa Literackiego imienia Mickiewicza** we Lwowie hr. Konstanty Przezdziecki okazał zgromadzonemu dla obejrzenia oryginalny rękopis „Grażyny” którego jest właścicielem.

— **Towarzystwo Ochrony Tatr** ukonstytuowało się szczęśliwie z zebraniem kapitałem 52,000 zł. reńskich. Rada zarządzająca składa się z 9 członków, a ci są Książę Eustachy Sanguszko, Kroebel, Lisowski, Boroński, Markiewicz, hr. Ant. Wodzicki, Fr. Zina, hr. Stanisław Tarnowski, Homolacz. Zakopane zostało więc ocalone przed pożądliwością obcych spekulantów.

— **Na pożyteczne fundacje w Galicyi** książę Lubomirski z Paryża złożył milion franków złotem w wiedeńskim Banku dla krajów koronnych.

— **Koncert kompozytorski Żeleńskiego** w Paryżu odbył się z wielkim powodzeniem. Sala była zapelniona wyborową publicznością i wyższymi osobistościami ze świata muzycznego. Wyjątki z opery: „Konrad Wallenrod” zyskały szczególne uznanie.

— **Towarzystwo pomocy naukowej** na Prusy Zachodnie, zorganizowane na tych samych zasadach co *Towarzystwo Poznańskie* imienia Marcinkowskiego, wykazało w dorocznym sprawozdaniu z czynności swoich następujący stan działalności: Członków liczy 441; w roku ubiegłym miało dochodu 8.871 marek i udzieliło stypendyi 61 osobom, w tej liczbie było 40 gymnazystów i kilku studentów uniwersytetu. Prezesem jest pan Ludwik Ślaski z Torunia.

— **Czeska Matica szkolna** otrzymała uczyniony jej testament prostego rzemieślnika, zamieszkującego miasteczko Jabłońce, nazwiskiem Chwojko, zapis domu z warunkiem, że utworzoną w nim będzie ludowa szkoła czeska. Podobnie małomiasteczkowy mieszczanin z Budziejowic zapisał cały swój majątek: 8.000 zł. reńskich „Maticy szkolnej”.

— **Kompozytor czeski Smetana** ma zostać uczczonym przez swych współrodaków pomnikiem. Wniosek wyszedł od Czeskiego Towarzystwa Muzycznego *Dalibor*. Fundusz ma być zebrany drogą składek.

PROGRAM WYSTAWY PRACY KOBIET w 1889 r.

Wystawa pracy kobiet otwartą będzie w gmachu **Muzeum Przemysłu i Rolnictwa** (Warszawa Krak. Przedm. 66) w dniu 18 Maja 1889 r. i trwać będzie przez 5 tygodni t. j. do dnia 25 Czerwca włącznie.

Program tej wystawy jest następujący:

1. Kwaciastwo; 2. Szycie bielizny; 3. Modniarstwo; 4. Rękawicznictwo; 5. Hafty bielizny; 6. Hafty zbytkowne; 7. Wyroby pończosznice; 8. Szewstwo; 9. Introligatorstwo; 10. Wyroby galanterijne ze skóry; 11. Wyroby wełniane; 12. Heliominiatury i fotografie; 13. Wyroby włóczkowe; 14. Wyroby siatkowe i szydełkowe; 15. Wyroby frywolitowe; 16. Koszykarstwo; 17. Drzeworytnictwo; 18. Malarstwo, oile wchodzi w zakres sztuki stosownej do przemysłu; 19. Krawieccyzna damska; 20. Muzyka w kierunku pedagogicznym; 21. Wyroby kościelne; 22. Wyroby koronkowe; 23. Wyroby fantazyi i zbytku; 24. Snycerstwo;

25. Rzeźbiarstwo; 26. Dział pedagogiczny, mianowicie przedmioty i środki ułatwiające naukę, łącznie z odnośną literaturą (tłumaczenia wykluczone); 27. Zabawki dzieciinne; 28. Wyroby z terracoty; 29. Wyroby włóściańskie; 30. Dział spożywczy, z wyłączeniem przedmiotów ulegających zepsuciu, oraz pszczolnictwo i papierosnictwo, Hodowla jedwabników i jedwab surowy; 31. Wyroby dżetowe; 32. Pasmanterye; 33. Gorseciarstwo; 34. Tkactwo domowe; 35. Krawaciastwo; 36. Fryzjerstwo.

Miejsca pod okazy oddawane będą bezpłatnie. Po bliższe informacye i deklaracye zgłaszać się można osobiście lub listownie do Kancellaryi Muzeum codziennie od 11—3 i od 6—8 wieczorem.

Kommissye sądzące rozpoczną swe czynności w 10 dni po otwarciu wystawy.

Odnaczone wystawczyom przyznawane będą nagrody w dyplomach, w medalach złotych, srebrnych i brązowych i w listach pochwalnych, w dziale zaś włóściańskim i w nagrodach pieniężnych.

W celu uniknienia zajęcia miejsca na wystawie przez okazy podrzędne z uszczerbkiem wzorowych wyrobów Komitet wystawy ustanowił kommissyą odbiorczą, która będzie decydowała o możliwości przyjęcia danego okazu na wystawę.

Wszystkie okazy całej wystawy podzielone będą na następujące działy:

Dział I. 1. Szycie bielizny; 2. Hafty białe; 3. Krawieccyzna; 4. Krawaciastwo; 5. Modniarstwo; 6. Szewstwo; 7. Rękawicznictwo; 8. Wyroby pończosznice; 9. Wyroby wełniane i włóczkowe; 10. Gorseciarstwo; 11. Tkactwo domowe i pranie.

Dział II. 1. Hafty zbytkowe; 2. Wyroby koronkowe, frywolitowe i szydełkowe; 3. Kwiaty; 4. Wyroby kościelne; 5. Wyroby fantazyi i zbytku; 6. Wyroby siatkowe; 7. Wyroby dżetowe; 8. Pasmanterye i Fryzjerstwo.

Dział III. Malarstwo, oile wchodzi w zakres sztuki stosowanej do przemysłu; 2. Heliominiatury i fotografie; 3. Rzeźbiarstwo; 4. Introligatorstwo; 5. Drzeworytnictwo i litografia; 6. Wyroby ze skóry; 7. Snycerstwo; 8. Koszykarstwo; 9. Wyroby z terracoty. Hodowla jedwabników i jedwab surowy.

Dział IV. 1. Muzyka w kierunku pedagogicznym; 2. Zabawki dzieciinne; 3. Pedagogika i nauka.

Dział V. Dział włóściański.

Dział VI. Dział spożywczy, z wyłączeniem produktów ulegających zepsuciu, oraz pszczolnictwo i papierosnictwo.

G ilości i jakości przeznaczonych dla każdego działu nagród ogłoszonym będzie z chwilą otwarcia wystawy.

Przedmioty wystawione winny być zabrane po ukończeniu wystawy w przeciągu tygodnia. Po upływie tego terminu przechodzą na własność Muzeum.

Wyroby zagraniczne przyjmowane będą na wystawę tylko poza konkursem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

TREŚĆ: Pogawędka. — Słowa a czyny powieść przez Sewera. — Zwrotki poezye, przez J. K. Ehrenberga. — Z Pedagogiki przez M. Ilńską. — Przegląd teatralny przez St. Krzemińskiego. — Jan Rowland Stanley. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 19 Апрель 1889 года.